

WSTĘP

Wychowywaliśmy się w Anglii, wiedząc, że jesteśmy czystej krwi Szkotami, ale Polska zawsze była obecna w naszym domu. W jadalni nad kominkiem wisiał portret dziadka Garvie, dystyngowanego starszego pana z siwą brodą, a naprzeciwko obraz przedstawiający zakłady lniarskie w Żyrardowie, w których był współnikiem i dyrektorem. Ogromny kredens, wykonany przez polskiego snycerza, przytłaczał pokój. Przy stole babcia Garvie rozmawiała z moją matką po polsku, a ta odpowiadała jej po angielsku. Janka Govenlock, dalsza krewna i uciekinierka z ogarniętej rewolucją Rosji, nadzorowała pracę w kuchni. Niezwykła osoba, postrach mylących się dostawców, nigdy nie nauczyła się angielskiego, a mój ojciec nie mówił po polsku. Jako dzieci trochę rozumieliśmy polski, ale mówiliśmy słabo.

Nie brakowało napięć, ale w Wigilię Polska brała górę. Przez tygodnie przychodziły kartki świąteczne, które wyraźnie różniły się od brytyjskich, zawsze też był opłatek i suszone owoce, z których przyrządzano kompot. Wieczorem rozkładano ogromny stół, wspierający się na czterech łabędziach wyrzeźbionych przez polskiego rzemieślnika, tak aby mogło się zmieścić przy nim 20 osób. Na obrusie, stanowiącym część wyprawy ślubnej mojej matki, stawiano porcelanę z Czech, szkło z Wenecji i srebro z Rosji. Przed przybyciem Świętego Mikołaja, który rozdawał prezenty, przyozdabiano choinkę i zapalano świece. Następnie udawaliśmy się do jadalni, gdzie Szkocję reprezentowały jedynie kilty mojego ojca i brata. Wszyscy zebrani, rodzina i przyjaciele, stali za swoimi krzesłami, dopóki babcia, drobna kobieta, ubrana w czarną satynową suknię z koronkami, nie przełamie się z każdym opłatkiem i nie przekaże życzeń świątecznych.

Kolacja wigilijna wyglądała zawsze tak samo. Najpierw polski czerwony barszcz, podawany z tłuczonymi ziemniakami, następnie ryba i wspaniały sos, który, jak pamiętam, przyrządzany był głównie z masła i ugotowanych na twardo jajek. Chociaż tradycyjnie powinien być podany karp, to jednak w Leeds w latach trzydziestych XX wieku przeważnie jedliśmy dorsza.

Na koniec podawano kompot z suszu i mieliśmy rzadką okazję zjeść tyle orzechów i cukrzonych migdałów, ile tylko chcieliśmy. Dopiero idąc do łóżka, stawia-

liśmy się na powrót Brytyjczykami, wieszaliśmy nasze skarpety i myśleliśmy już o jutrzejszym indyku i puddingu.

Kim byli ci Hayowie, Dicksonowie, Govenlockowie, Czarlińscy, Grabowscy i Hannichowie, którzy przysyłali nam kartki świąteczne? Dlaczego wyjechali do Polski i dlaczego tak wielu z nich nadal tam przebywało? Zanim zaczęłam próbować się tego dowiedzieć, moja matka zmarła. Miała ona jednak zmysł i wykształcenie historyczne. W przechowywanych przez nią listach, wspomnieniach i notatkach, które jej rodzice zabrali ze sobą w 1906 roku, wracając do Wielkiej Brytanii, natrafiłam na pierwsze ślady prowadzące do moich szkockich przodków w Polsce.

Podążając tym tropem, odkryłam, że moi przodkowie stanowili część znacznie większej społeczności presbiteriańskich Szkotów, którzy wyemigrowali do Polski w latach 1815–1830. Inżynierowie, rolnicy, tkacze i młynarze, dobrze wykształceni wysokiej klasy specjaliści opuszczali Szkocję niechętnie, zmuszeni trudną sytuacją finansową. W porównaniu ze Szkocją, przeżywającą po zakończeniu wojen napoleońskich kryzys gospodarczy, nowo powstałe Królestwo Kongresowe wydawało się ziemią obiecaną. W 1825 roku jednakże, po śmierci stosunkowo liberalnego Aleksandra I, na tronie zasiadł zdecydowanie sprzeciwiający się wszelkim tendencjom demokratycznym Mikołaj I. Jego polityka doprowadziła w 1830 roku do wybuchu powstania listopadowego. Upadek powstania pociągnął za sobą zniszczenie Królestwa i opuszczenie kraju przez licznych przedsiębiorczych przedstawicieli wyższych warstw społeczeństwa. Prowadzona przez władze rosyjska polityka sprawiła, że wiele przedsięwzięć gospodarczych, pozbawionych dotychczasowego wsparcia ze strony polskiej arystokracji, zakończyło się dla emigrantów szkockich niepowodzeniem. Części z nich udało się jednak przetrwać trudne czasy. W latach sześćdziesiątych XIX wieku szkoccy rolnicy zaczęli stawiać się właścicielami ziemskimi, brygadziści – kierownikami, a kierownicy – dyrektorami.

W tej zwartej, powiązanej licznymi więzami powinowactwa, presbiteriańskiej i stosunkowo zamożnej społeczności szkockiej przyszła na świat w 1885 roku moja matka. Było z nią spokrewnionych przynajmniej 200 osób. Przyczyniły się one do zrewolucjonizowania rolnictwa w posiadłościach Ludwika Michała Paca i rodziny Zamoyskich, w fabrykach, które stanowiły ich własność lub którymi zarządzali, przeszkoliły setki polskich techników, a w Żyrardowie wniosły wkład w powstanie modelowego miasta przemysłowego i zakładów włókienniczych, w których produkowano najlepszy len w Europie. Krewni ci zostawali bankierami, lekarzami, pielęgniarzami i przedsiębiorcami, wchodząc w skład klasy średniej. Pod koniec XIX wieku ziemie polskie stanowiły najbardziej rozwiniętą część imperium rosyjskiego. W następstwie pierwszej wojny światowej i rewolucji bolszewickiej gospodarka uległa jednak zniszczeniu, a dramatyczne wydarzenia XX wieku zatępiły pamięć o szkockim wkładzie w rozwój ziem polskich w XIX wieku. Zaczynając od rodzinnych dokumentów, podjęłam próbę przypomnienia dokonań emigrantów szkockich i pokazania, kim byli, co zrobili i jak żyli w kraju, w którym tak wielu z nich pozostało obcymi.